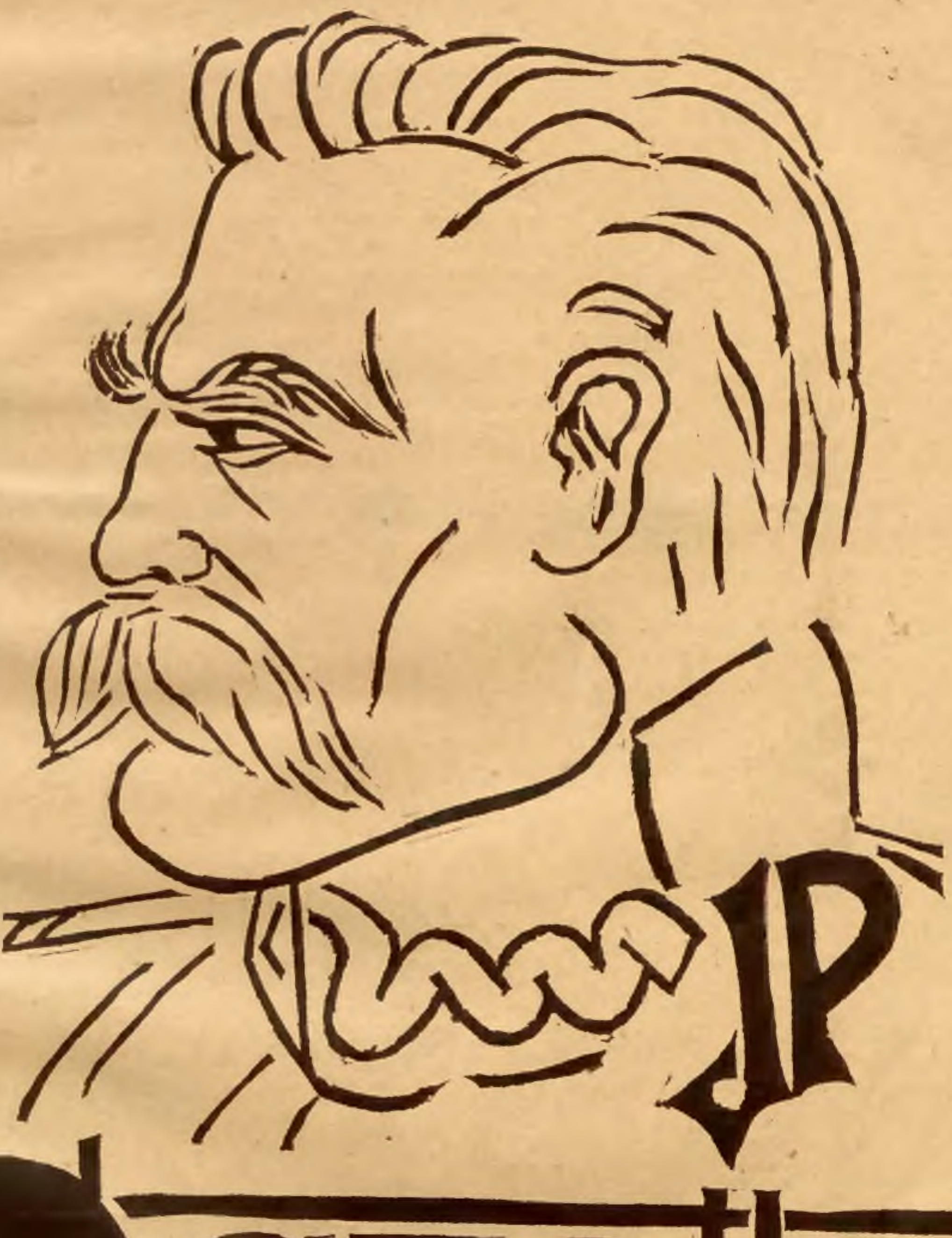
19 MARCA - 1934

NU 5 MER

NADZWYCZAJNY NUMER

MIESIECZNIK GIMN. 356,357,358.



gazetka

WYWIAD Z DYMSZĄ na stronie 9.

WYWIAD Z DYMSZĄ na stronie 9.

Od Redakcji.

Numer ten jest numerem nadzwyczajnym, wydanym z okazji imienin I-szego Marszałka Polski, J. Piłsudskiego i jest Mu poświęcony, jako pewien rodzaj wiązania. To pociąga za sobą pewne konsekwencje w doborze artykułów. Zupełnie bowiem jasną rzeczą, że olbrzymi wpływ, jaki postać Wodza Narodu wywiera na młode pokolenie powinien być w tym numerze uwypuklony. To też, jak sami zauważycie, cała pierwsza część „Gazetki" odnosi się bezpośrednio do Jego osoby, a i w części drugiej staraliśmy się, o ile możności, zaznaczyć Jego wpływ

Jeżeli chodzi o poszczególne artykuły, to w „Twórcy" i w „Wywiadzie" staraliśmy się wyjaśnić, dlaczego P. Marszałka szanują i kochają starsi i młodsi chłopcy; w „Idziemy" i w „Wrażeniach" przedstawiciele młodzieży żeńskiej i męskiej dali nam obraz swych uczuć i przeżyć w związku z osobą Naczelnika Polski, a wspomnienie o Nowodworskim zostało zamieszczone przez jednego z uczniów zakładu jego imienia w związku z przypadającą rocznicą.

Tyle co do części oficjalnej. Pozostawałaby jeszcze kwestja nagłówków poszczególnych działów. Otóż jakkolwiek najzupełniej uznajemy, że nagłówek np. „Na srebrnym ekranie" byłby z pewnego punktu widzenia lepszym, niż prosty „Film", jednakże oceniając, że największą (i najczęstszą) wadą, w jaką może popaść pisemko szkolne jest patos i postanowiwszy na samym początku tej właśnie wady przedewszystkiem unikać, już przy wydaniu I-szego numeru zdecydowaliśmy by wszelkie tytuły i nagłówki były jak najprostrze i jak najnaturalniejsze. Dlatego też całemu pisemku nadaliśmy nazwę „Gazetka", jakkolwiek mieliśmy dużo szumniejsze nazwy do wyboru.

REDAKCJA.

OGŁASZAMY

konkurs na projekt na okładkę 6 nr. „Gazetki" I-sza nagroda: bezpłatny bilet do kina.

Nr. 5 (nadzwyczajny). Cena 10 gr. Rok 1.

Gazetka

Miesięcznik Samorządów uczniów gimn. B. Nowodworskiego, św. Jacka i J. Sobieskiego przy współudziale uczniów gimn. im. Kołłątaja

Kraków, 19 marca 1934 r.

Twórca.

Motto: Zadaniem duszy ludzkiej wogóle jest tworzenie.

(J. Piłsudski: „O dowodzeniu podczas wojny").

Patrząc na świat widzimy, że jedne narody dochodzą do wysokiej kultury i cywilizacji, są jako państwa potężne i trwałe, a po upadku nawet długo żyją ich dzieła i sława, a drugie po krótkiej wegetacji giną w zapomnieniu. Zjawisko to, staje się łatwo zrozumiałe, gdy zdamy sobie sprawę, że wśród ludzi zwykłych, żyjących ot tak sobie, byle tych 60, (a o ile możności więcej) lat, jakoś przeżyć i jaknajmniej przytem doznać przykrości, wybija się specjalna grupa ludzi wyższych, ludzi— Twórców. Im więcej zaś który naród ich posiada, tem wyższą jego kultura, możność panowania nad siłami przyrody, czyli tak zwana cywilizacja.

Twórcy działają na wszystkich polach i tworzą we wszystkich materjałach. Wszyscy mają jednak jedną cechę wspólną, która ich łączy, a którą jest, jak to sama nazwa wskazuje, to, że tworzą.

Bo tworzyć, to nie to samo, co pracować. Tworzyć można tylko coś nowego, coś, co przedtem nie istniało z danych materjałów przez nowe ich ustawienie i dodanie części własnej istoty. Bo tak, jak chcącemu otrzymać wodę chemikowi nie wystarczy zmieszać tlen i wodór, lecz musi do tej mieszaniny dodać trzeci element, iskrę elektryczną i wtedy dopiero otrzyma ciało nowe, nieistniejące przedtem ani w tlenie, ani w wodorze, wodę, tak też Twórcy nie wystarczy dany materjał zestawić i ułożyć; on musi dodać do niego część siebie samego, część swojego „ja" i wtedy dopiero otrzyma coś nowego, wtedy dopiero stworzy Dzieło.

Szczególny wypadek zdarza się wtedy, gdy celem życia Twórcy, jego Dziełem jest szczęście jakiegoś narodu. Naturalną bowiem jest rzeczą, że po stułat oddania dziełu swej istoty jest i wtedy ważny. Ponieważ jednak, tchnąc w dzieło, a więc w tym wypadku w społeczeństwo swego ducha, Twórca staje się z niem jedną całością, jego indywidualność zespala się z indywidualnością (bo taka istnieje) społeczeństwa, lecz działa nadal, elektryzując ją niejako iskrą swej woli. I tem się właśnie Twórca różni od typu na pierwszy rzut oka bardzo do niego podobnego, od społecznika i tem się tłumaczy tak wielka różnica między wydajnością pracy Twórcy, a wydajnością pracy zwykłego działacza społecznego. Społecznicy bowiem, to ludzie, którzy wskutek swego nastawienia umysłowego i moralnego, a często i pod wpływem wychowania, przy starciu się popędów indywidualistycznych z wymogami społeczeństwa (a w życiu każdego człowieka takie starcie następuje) złamali swą osobowość i podporządkowali ją społeczeństwu.

Właśnie jednakże dlatego, że zniszczyli główny motor działania, jakim u wszystkich ludzi jest egoizm na rzecz uspołecznienia, działalność ich nie wybija się, nie uderza. (Zresztą takie zupełne zgniecenie egoizmu jest wypadkiem nadzwyczaj rzadkim i u olbrzymiej większości ludzi walka między egoizmem, a uspołecznieniem nie kończy się tak bezwzględnem zwycięstwem żadnego z czynników). W każdym razie u zwykłych ludzi (i z tego musimy

zawsze zdawać sobie sprawę) egoizm jest w ciągłej walce i kolizji z uspołecznieniem i to jest powodem tak słabej wydajności pracy normalnych ludzi.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z Twórcami, u których, jak już powiedzieliśmy, „ja" Twórcy, zlewa się ze społeczeństwem. Wskutek tego utożsamiają oni swoje szczęście osobiste ze szczęściem społeczeństwa, swą potęgę z potęgą społeczeństwa, moralność z potrzebami społeczeństwa i mogą dla niego pracować nietylko nie tłumiąc swej indywidualności, ale jeszcze ją rozszerzając.

I takim właśnie twórcą jest Marszałek Piłsudski. Mamy na to mnóstwo dowodów i przykładów.

Przedewszystkiem więc jest on typem twórcy wogóle. Tego dowodzi nam całe Jego życie i Jego Dzieło, niepodległe i coraz potężniejsze państwo polskie, w którem żyjemy.

Pęd do twórczości jest u Marszałka Piłsudskiego zarówno wrodzony, jak i wyrozumowany. Bo czy mógłby to tak proste, a równocześnie tak głębokie i ujmujące całą istotę zagadnienia zdanie: „Zadaniem duszy ludzkiej wogóle jest tworzenie" wypowiedzieć człowiek, którego cała istota nie domagałaby się twórczości i któryby się nad problemem twórczości głęboko nie zastanawiał?

Jak każdy Twórca, jest Marszałek Piłsudski człowiekiem czynu, i to urodzonym. U innych ludzi bowiem konieczność działania jest narzucona przeważnie przez zewnętrzne warunki. Ludzie muszą pracować, bo inaczej nie mieliby co jeść, albo nie mogliby urzeczywistnić swych celów, ale praca jest dla nich przykra i starają się jej, o ile możności, uniknąć. U Marszałka Piłsudskiego natomiast czyn jest potrzebą wewnętrzną, wypływającą z charakteru i usposobienia. Zwłaszcza odnosi się to do pracy umysłowej. Ten człowiek nie potrafi żyć bezczynnie. „Kategoryczny nakaz działania jest u Piłsudskiego głównym motorem pracy umysłowej" (Starzyński: J. Piłsudski). W ruch konkretny wprowadzają go inne dążności wraz z towarzyszącemi im uczuciowemi odblaskami. W więzieniu magdeburskiem naprzykład wziął się Marszałek Piłsudski do pisania książki pt.: „Moje pierwsze boje" tylko dlatego, bo jak sam powiada nie mógł znieść bezczynności.

Ale potrzeba czynu jest u niego nietylko wrodzona. I na polu rozumowania doszedł on do przekonania, że czyn jest koniecznością, choćby się nawet narazie nie wierzyło w możliwość zrealizowania celu, do którego prowadzi. Bo czy jakaś rzecz jest możliwa, czy nie, tego nigdy z całą pewnością zgóry nie można twierdzić, a działanie to jedyna droga, prowadząca do osiągnięcia czegokolwiek. Zresztą Piłsudski do tego stopnia wierzy w potęgę świadomego czynu, że mówi: „Gdy w życiu mądra spotka cię przestroga: „Nie przebijesz głową muru nie wierz temu". Ba, nawet uznaje, że każdy plan jest więcej, lub mniej dobry, a główną rzeczą jest wykonanie.

I tem właśnie, że jest człowiekiem czynu, różni się Marszałek Piłsudski od całego współczesnego pokolenia polskiego. Najcharakterystyczniej może tę różnicę uwydatnia zarzut zawarty w paszkwilu Lipeckiego pt.: „Legenda J. Piłsudskiego", że Piłsudski ideę niepodległości wysunął nie pierwszy w tym czasie. Otóż, właśnie na tem polega różnica; inni wysuwali idee i mogliby je wysuwać jeszcze drugie 150 lat, gdyby nie przyszedł człowiek czynu, który nie pytał, kto jaką ideę wysuwa, tylko powiedział sobie: „Trzeba wskrzesić Polskę" i dokonał tego.

Przy tem wszystkiem nie należy sądzić, by Marszałek był człowiekiem czynu w zwykłem tego słowa znaczeniu. Normalnie człowiek czynu to często człowiek, w którym pewność i szybkość decyzji występują kosztem inteligencji i wyobraźni i niezdolności do popatrzenia na jedną sprawę z kilku punktów widzenia. Jeżelibyśmy te cechy uznali za charakterystyczne dla przeciętnego człowieka czynu, to Marszałek Piłsudski jest raczej intelektualistą. Bo pominąwszy nawet jego zdolność do samooceny, którą widzimy w jego dziełach, a na którą może się zdobyć tylko człowiek o nastawieniu intelektualistycznem, znajdujemy jeszcze wyraźniejsze oznaki jego intelektualizmu. N. p. słowa: „Szukałem tego egzaminu, by dowieść, że co ja zrobię, tego nikt nie zdoła. Piętrzyłem trudności, szukałem nadzwyczajności, by dowieść, że mogę zwyciężyć". (Zdobycie Wilna" J. Piłsudski) dowodzą, że jest mu znany tak wyłącznie intelektualistyczny objaw, jak badanie własnej wartości.

Ta sama jednak zdolność, która Mu pozwala badać samego siebie i oceniać swoją wartość, mówi mu, że zwątpienie w swoje siły, w słuszność swych celów, i wogóle zwątpienie we wszelkiej postaci, to najlepsza droga, by nic nie zdziałać. Toteż nazywa Marsz. Piłsudski: „opanowanie wątpliwości, koniecznem dopełnieniem każdej inteligentnie przemyślanej decyzji", a pewność i niewzruszoność zdobywa aktem woli intelektualnej. Wolę zaś ma tak silną, że gdy dojdzie do jakiejś decyzji i przyjmie ją jako słuszną, wtedy wierzy raczej w realność jej i trzyma się raczej jej, niż rzeczywistości, i tą wiarą zwycięża rzeczywistość. Akceptuje on w zupełności słowa Napoleona: „Sztuka łamania przeszkód jest to nie uważać ich za przeszkody", i przekonał się jak mówi, niejednokrotnie o ich słuszności. Doszedł nawet przez swoją wolę do takiej siły i pewności moralnej, że po przewrocie majowym powiedział do przywódców stronictw opozycyjnych: „Niema was" i rzeczywiście przestali oni od tego czasu dla niego istnieć.

Z tego wszystkiego widzimy, że Marsz. Piłsudski był właśnie typem Twórcy, i to typem najwyższym, bo pracował nie dla osiągnięcia piękna, czy mądrości, lecz dla osiągnięcia szczęścia dla drugich, i nie używał jako materału do pracy, ani kamienia, ani słów i pojęć tylko, lecz dusz i charakterów ludzkich. A że jako prawdziwy Twórca dał swą duszę swemu Dziełu, tj. państwu polsk. więc i sam stał się jego duszą. Bo przecież teraz duma Marsz. Piłsudskiego utożsamiła się z poczuciem godności narodowej, jego potrzeba władzy z pragnieniem potęgi dla Polski, jego moralność i poczucie honru, z prawami Polski, a jego wola z wolą Polski. Na wszystkich tych przykładach widzimy, że nietylko Marszałek zespolił swą indywidualność z indywidualnością społeczeństwa, lecz i społeczeństwo do siebie podźwignął i teraz Marszałek Piłsudski włożywszy najgłębszą i najistotniejsza część swojej istoty, swą duszę w swoje Dzieło, w państwo Polskie, tak długo będzie żył, jak długo ono istnieć będzie. I to jest jedyna nagroda, jaką otrzyma za pracę całego życia.

My zaś młode pokolenie, pamiętajmy zawsze o tej zasadzie Piłsudskiego:

że „zadaniem duszy ludzkiej wogóle jest tworzenie".

A wtedy może będziemy zdolni i godni poprowadzić jego dzieło dalej. **jurk.**

—o§o—

Jan Br. Trybowski, 357.

Idziemy krokiem rześkim, młodym..

(W dniu imienin P. Marszałka Józefa Piłsudskiego)
19. III. 1934 r.

Tak! - jak wczoraj -- a już lat kilkanaście
— zbiegło się białoskrzydłe ptactwo
i serce jak Chrystusowy krzyż
wzniosło w niebo, wzwyż, wzwyż —
— na burze krwawe, - Za świętą Sprawę!!-
— wzniosło swe serce tam, by w szalonym
co wszystko zetrze [wietrze,
skruszyły się okowy, przepadło tułactwo ---
— — — — — — — — —
Panie Marszałku - pomnisz gdyś witał
Wolną Ojczyznę — w świtach —
Pomnisz, gdy na Jej skronie białe
kładłeś płonących zapałem serc różaniec
tych szarych i prostych,
Których szaleńczo niosły na szaniec
— jakoweś tęsknoty zuchwałe
za wolnością - - - -
Panie Marszałku - pomnisz gdyś witał
Wolną Ojczyznę — w świtach —
i własne serce, co dla Niej żyło
dałeś Jej za berło - - - -
— Tak!! - jak wczoraj - a to już dawno
lat kilkanaście [było:
— wykwitłych z popiołów pęt zerwanych
a w których wyśpiewano Hymn Pracy!
— — — — — — — — —
I dziś nikt nie powie,
że jesteśmy tylko „państwem sezonowem"
Myśmy: MOCARSTWEM!!!
— Czy wiecie jaka moc w tem słowie
szyderczo grzmi nad niedowiarstwem?
— — — — — — — — — — —
Słyszycie dziś? Wytężcie wzrok!
O! — tam z błękitnej dali
gdzie słońce błyszczy jak złoty medalik
coraz mocniej, coraz głośniej, coraz bliżej,
w potężnym rytmie, sprężysty krok:
— raz, dwa — raz, dwa — raz, dwa —
To my idziemy, młodzi!! —
Idziemy razem w błękitną dal
szerokim, rozlanym, ogromnym pochodem
Gdzie? — w przyszłość!!
— a drogę -- Panie Marszałku
wskazała nam
Twych oczu stal - - -
— Idziemy tam!! —
Idziemy krokiem rześkim, młodym
— RAZ, DWA — RAZ, DWA . . .

Wywiad o „Dziadku".

Postanowiłem zrobić wywiad. Rozmówcą moim nie miał być nikt wielki, ani sławny, wręcz przeciwnie: ktoś skromny, zarówno wiedzą jak wiekiem, tj. kolega z pierwszej gimnazjalnej. Temat wywiadu był dość prosty: „Za co i dlaczego młodzież, zwłaszcza młodsza, kocha „Dziadka"?

Zacząłem od pytania dość podstępnego: — Czego krzyczysz na akademjach „Niech żyje Marszałek!", choć ci nikt nie nakazuje?

Młody rozmówca spojrzał na mnie, jak na wywrotowca. Musiałem go szybko odwieść od tego mniemania, by uprzedzić jakieś „odczep się", czy coś podobnego. Dosyć długo to trwało, zanim przekonałem go o szczerości mych zamiarów i otrzymałem odpowiedź, że dlatego, bo lubi „Dziadka". Po tej odpowiedzi rozmowa ożywiła się. Jeżeli chłopiec zwierzy się z czegoś drugiemu, to między nimi odrazu zawiązuje się przyjaźń i nic nie stoi na przeszkodzie dalszym zwierzeniom.

— Czemu właściwie lubisz Go?

Teraz odpowiedź nastąpiła szybciej, choć zrazu była niejasna. Mówił mi coś o oswobodzeniu Polski z niewoli, o wolności narodu. Brzmiało to trochę niepewnie i nie było tem, na co czekałem. Wreszcie dowiedziałem się czegoś oryginalniejszego i ciekawego. Opowiedział mi ów kolega, jak był na Rewji Jazdy w październiku. Nie widział dobrze defilady na Błoniach, bo mu inni zasłaniali. Ale potem, kiedy rewja skończyła się, zobaczył nagle, że jego koledzy gdzieś biegną. Naturalnie pobiegł za nimi. Mijał jakichś policjantów, którzy beznadziejnym wysiłkiem usiłowali powstrzymać falę ludzką. Ale ona parła przed siebie mimo wszystko i stawała się zwolna coraz gęstszą i coraz wolniej szła naprzód, aż stanęła. Ludzie pchali się niemiłosiernie. Jednak mój rozmówca, choć słaby, wśliznął się w tłok, idąc na czworakach pomiędzy nogami. Tak dopchał się do pierwszego szeregu. I tu, z głową między zbłoconemi nogami stojących, zobaczył Go. Nie potrafił mi Go opisać. Mówił, że wszystko mu się kręciło w głowie, a serce aż bolało od uderzeń. Z pewnością nietylko bieg forsowny to sprawił. Mówił, że tak krzyczał wtedy jakby kiedyindziej nie potrafił; że nawet nie wiedział, co krzyczy. Pamiętał, że Marszałek uśmiechał się i kiwał ręką. Z całem przekonaniem mówił, że uśmiechał się do niego, właśnie, kiedy zobaczył jego głowę pomiędzy cudzemi nogami. Chłopak usiłował wstać, ale się nie dało. I ledwie chwilę mógł patrzeć, bo potem kilku stanęło przed nim tak, że nic nie widział.

Tu przerwał. Całą tę opowieść wyrzucił z siebie głosem podniesionym, zdenerwowanym.

Nie odzywałem się. Czułem, że teraz powie mi resztę myśli, które mógłbym niewczesnem pytaniem spłoszyć. I rzeczywiście zaczął mówić dalej, ale już spokojniej.

— Wiesz, czułem się wtedy taki silny, że każdegobym pobił, ktoby coś przeciwko Niemu powiedział, czy zrobił. A do tego ten widok, jak wszyscy z różnych gimnazjów i klas, dorośli i młodzi razem krzyczą i rzucają czapki w górę, tak bardzo mnie rozentuzjazmował, że — że —

Rozmówcy mojemu zabrakło słów i usiłował coś dopowiedzieć gestami rąk. Może mimowoli dotknął najistotniejszego zagadnienia znaczenia Marszałka dla Polski: w Nim jednoczy się cały naród. Każdy Polak kochając Polskę, kocha i Jego jednocześnie.

Jeszcze długo rozmawialiśmy. Mówiliśmy o rewji i o innych sprawach nie związanych z „Dziadkiem". Dopiero na zakończenie opowiedział mi zabawne wspomnienie z przed paru lat, kiedy właśnie zaczął interesować się Marszałkiem. Mianowicie zobaczył Go na ilustracji w którejś gazecie przy kładzeniu pasjansa.

— Wyglądał zupełnie, jak mój Tata, który ma takie same wąsy i tak samo stawia pasjansy, tylko jest trochę młodszy. Od tego czasu stał się Marszałek dla mnie jakby drugim, własnym tatą, albo poprostu „Dziadkiem".

I tak, choć prawie nie dowiedziałem się, czemu młodzież kocha Marszałka, jednak przekonałem się, że kocha Go naprawdę całą duszą.

Z. E-r.

——o§o——

Co przeżyłam dnia 6. X. b w dniu Święta Jazdy?

Jadą... już jadą doleciało do mych uszu.

Potem gwizd lokomotywy, zgrzyt hamulców i pociąg stanął. W mundurze wojskowym, w otoczeniu świty wyszedł z peronu Józef Piłsudski. Serce moje na chwilę przestało bić. Jak ja Go chciałam widzieć!... choć z daleka. A tymczasem przechodził całkiem blisko. Siwa Jego głowa pochylała się w ukłonach.

Nie wiem dlaczego, coś ścisnęło mi gardło, łzy stanęły mi w oczach i byłabym się śmiała i płakała z radości, że Go widzę. To ten sam, co przed laty wskrzesił Polskę? Wyobrażałam Go sobie jako olbrzyma, demona siły, a tymczasem... szare, dobre oczy, dobrotliwa twarz i uśmiech dziecka. Tak, to On. Potem wszystko znikło.

Auto uniosło Go, zasłaniając się lekkim pyłem. Wieczorem prawie to samo. Przyjeżdża Prezydent Rzeczypospolitej. Lekko pochylona postać. Nie dziw. — Dźwiga przecież na barkach troskę o życie Tej, której służy,... Polski!

Na drugi dzień rano, idę na Błonia. Chcę Ich jeszcze raz widzieć. — Może ostatni. —

Daleko... daleko przedemną, na czerwonem wzniesieniu stoją Obaj: Marszałek Piłsudski i Prezydent Ignacy Mościcki. Za chwilę nadejdzie to, na co oczekiwały tysięczne tłumy... wojsko.

— I szły pułki za pułkami, dumne, ale swojskie. Przecież to nasza polska ułańska wiara, a Jego dzieci. — On je tak kocha.

— Przez grady kul, pożary, zgliszcza, głód i nędzę prowadził je do wolności. Oni byli szczęśliwi, bo byli tymi wybranymi, którzy walczyli za wolność — za Ojczyznę!

Kolorowe proporce migają i giną w dali... —

A On stoi i odbiera hołd żołnierza polskiego. Ja patrzyłam z daleka i nie widziałam nic, prócz niebieskiego munduru i białej głowy. — Przeżywałam chwile takiego podniecenia i radości, jak nigdy jeszcze. Chciałam biec, dotknąć się Go. — W Nim widziałam wszystko: potęgę i siłę Polski. I ten drugi starzec był mi niemniej drogi. — On zapewni przecież Ojczyźnie dobrobyt i spokój. Tak, tylko Oni i Ich szarzy przyjaciele, w skromnych, strzeleckich mundurach. Mimowoli w sercu wzbiera modlitwa cicha, ale mocna, za Nich, za Polskę i za wszystkich, którzy Jej służą i są Jej wierni.

— A tymczasem wojska przepłynęły, ostatnie dźwięki orkiestry przebrzmiały, ale w duszy pozostał mi jasny Ich obraz, najświętszy ,wieczny, tylko mój!

Ita.

Bartłomiej Nowodworski.

Gimnazjum Nowodworskiego obchodziło dnia 13. b. m. dzień śmierci swego patrona.

Bartłomiej Nowodworski, herbu Nałęcz, ur. w r. 1544 w Nowodworze, pow. tucholskim, po skończeniu szkoły parafjalnej w Tucholi przebywał najpierw na dworze ks. Michała Zasławskiego, potem w Siedmiogrodzie, skąd powołany do Polski brał udział w wojnie z Moskwą. Mimowolne zabójstwo dworzanina królewskiego w pojedynku, zmusza Nowodworskiego do ucieczki za granicę. Osiadł na jakiś czas we Francji. Zapoznał się tam z kulturą i sztuką zachodu. Wstępuje do zakonu Maltańskiego. Bohaterskiemi czynami zmazuje swą winę i wraca do kraju, gdzie bierze czynny udział w obronie Ojczyzny przed Moskalami za Zygmunta III. Po wojnie osiada w Krakowie i tu styka się ze światem naukowym. Umysł głęboki, gorący patrjota, widzi przyszłość narodu przedewszystkiem w gruntownej wiedzy i kulturze.

Istniała podówczas w Krakowie od r. 1588 przy akademji szkoła, mająca za zadanie przygotowywać do studjów w akademji uczniów, wychodzących ze szkółek parafjalnych.

Jedyna szkoła, która mogła to przygotowanie dać, groziła upadkiem z powodu braku funduszów. Ocalił ją od tego B. Nowodworski. Podpisuje on legat w wysokości 8.000 złp. Ten legat (potem przyszły też legaty innych ofiarnych ludzi) zapewnił szkołom spokojny rozwój. W ten sposób **Nowodworski ugruntował pierwszą szkołę średnią w Polsce.**

W r. 1617 Nowodworski chwyta z rozkazu króla Zygmunta III za oręż w wyprawie przeciw Moskalom. Z wyprawy wraca bez prawej ręki. Oddaje

się pracy nad wzmocnieniem oświaty w kraju. Nowemi legatami popiera m. i. wydawnictwa dzieł naukowych.

W ostatnich dniach życia mianowany przez króla komandorem poznańskim, umarł dn. 13. marca 1624 r. pozostawiając po sobie wiekopomne dzieło, które stało się kolebką całego szeregu szkół, które stanowią dziś chlubę Narodu Polskiego.

„Służmy poczciwej sprawie, a jako kto może, Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże".

Słowa te, które ucieleśnił fundator naszej szkoły, niech i dla nas młodych będą gwiazdą przewodnią w życiu. Ler. 356.

Tragedja klasy.

(ciąg dalszy).

Nie wiem, czy zawsze to jest sprawiedliwem, że ludzi szlachetnych dopiero się po śmierci docenia, ale nas młodzieży nie można jeszcze z tego powodu winić, że profesora nie zawsze rozumiemy i nie zawsze postępujemy według jego wskazań, a dopiero wobec takiego wstrząsu, jak jego śmierć, stajemy się jego wielbicielami. Tutaj nasza młodość, nasze nieokiełzane fantazje, gdy silną ręką profesora są na właściwe tory sprowadzane, wywołuje to w tej ślepej, żywiołowej i surowej sile pewien opór, który wyraża się niezadowoleniem i sarkaniem w stronę wychowawcy. Zwłaszcza wśród tego plebsu, proletarjatu uczniowskiego utarło się z tego powodu przekonanie, że wszystkiemu złemu są winni profesorzy. Dopiero, gdy zdadzą maturę, gdy z odległości kilku lat spojrzą poza siebie, widzą, że przecież te utarczki z profesorami były błahostkami w stosunku do innych przykrości, jakie człowieka w życiu dopiero spotykają, że należało się im raczej poddawać z uśmiechem i z tem przekonaniem, że one tylko na dobre w przyszłości nam wyjdą.

Tak też i prof. Liszkowicz, stając się coraz bardziej kochanym i wyraźnym, przechodził zupełnie niespostrzeżenie na naszych ustach już do przeszłości.

Opowiadaliśmy już wtedy o nim nie jako o takim, co jest, lecz o takim, co był.

Świetny to był chłop! Morowy chłop! powtarzali zgodnie wszyscy. Szkodaby go było, gdyby umarł! Rzeczywiście lepszego profesora trudno sobie byłoby wyobrazić. Przedmiotu uczył zawsze sumienie, miał pewne swoje wymagania, ale nie były one nigdy zbyt trudne, ani zbyt wygórowane. Łaciny i greki uczył tak, że można było z łatwością podołać obowiązkom, nie uciekając się nawet do tłumaczeń czy „kluczy", które są bodaj największą plagą nauczania przedmiotów klasycznych w dzisiejszych czasach. Miał specjalny sposób podejścia do każdego ucznia, potrafił z najsłabszego bodaj wykrzesać choćby iskrę możliwości. Oczywiście zdarzały się i wypadki, gdzie spotykał się ze złośliwością uczniów, gdy znając jego dobre serce niczego nie nauczyli się wszyscy na jeden dzień. Gdy wywołał jednego, a ten mu nie odpowiedział, drugiego, trzeciego, doprowadzało go to do pasji, porywał niektórego za bluzę i w najwyższem zdenerwowaniu zaczął nim szarpać, a potem wepchnąwszy go z całej siły do ławki, mówił: Głupcze siadaj!

A potem odchodząc od niego powtarzał tylko słowo „Głupiec jeden"! i rzucał w jego stronę spojrzenia pełne oburzenia i gniewu, które zawsze budziły w nas uczucia śmiechu i wesołości. Wszyscy aż ksztusiliśmy się pod ławkami.

On zaś mówił: Skoro już głupcy nie chcecie tłumaczyć sami, ja to zrobię za was. Róbcie tak dalej, a patrzcie końca! I tłumaczył sam.

A gdy spostrzegł jeszcze kogoś śmiejącego się, ten był nieszczęśliwy. Niemal z impetem, jak z procy wylatywał taki za drzwi, które się z łoskotem zatrzaskiwały za nim.

A mimo to nie używał wcale notesu. Na całe szczęście takich sprzeczek z nami było coraz mniej, bo zaczęliśmy zwolna nieco mądrzeć i coraz lepiej pojmować starego profesora. Przecież młodzież, chociaż w tym wieku niema prawie wcale rozumu, to jednak jest wrażliwa, impulsywna i ma dobre serce. Trudno zresztą było nie umieć u prof. Liszkowicza. W ostatnim roku szkolnym miał bardzo przytępiony słuch, trzeba było bardzo wyraźnie wymawiać odpowiedź i niemal jemu do ucha. Za to podpowiadania prawie nigdy nie słyszał. Można było doskonale, zwłaszcza szeleszczącym wyraźnym szeptem podpowiadać nawet z ostatniej ławki — on tego nie słyszał. Zato z ruchu warg nieraz mylnie wnioskował, że ktoś podpowiada i ten ktoś zazwyczaj zupełnie niewinnie stawał się ofiarą, któremu zacny pedagog nie szczędził „Głupcze" i nawet bęckania po plecach.

Ta jego fizyczna wada, stawała się coraz bardziej przykrą, zwłaszcza bezpośrednio przed opuszczeniem naszej szkoły i była bardzo przykrem preludjum do choroby.

A człowiek to był złoty. Wszystkich zarówno bez wyjątku kochał i rzeczywiście musiał to być bardzo słaby uczeń, aby przez niego miał pozostać drugi rok w jakiejś klasie. Nie lubił on, poprostu tępił nieszczere i złe objawy charakteru u swych wychowanków. I tacy tylko jedynie liczyć mogli, że w następnej klasie z nim razem nie będą. Pamiętam, jak raz w trzeciej klasie urządziliśmy przedstawienie szopki, do której jeden z moich kolegów napisał bardzo pompatyczną tragedję historyczną. Martwe, sztywne lalki wykonując na scenie pocieszne podgrygi, wzbudzały na widowni oczywiście śmiech, zamiast poważnego nastroju, odpowiedniego do treści utworu. Ponieważ ja tam namalowałem dekoracje do tej szopki i w dodatku napracowałem się wraz z kilku innymi kolegami, ażeby coś pokazać, byłem bardzo zły na tych, którzy usadowili się w pierwszych ławkach i ograniczali się do krytykowania i głośnych wybuchów śmiechu przy niefortunnych posunięciach lalkami. Ponieważ byłem bardzo porywczy, nie mogłem zbyt wiele wytrzymać, porwałem ogromną, mokrą gąbkę, nasyconą wodą i atramentem i zrobiłem „zamach" na dumnych krytyków. Gdy zgaszono w drugim akcie światło, nie namyślając się wiele, cisnąłem tą „bombą" w tłum kolegów, gdzie znajdowali się krytycy i profesor. I skutek był zachwycający. Wrzask, pisk; zaświecono światło, szukanie winowajcy, którego nie znaleziono i oczywiście rozwiązanie zebrania.

(C. d. n.)

Niewolnica.

Już drugi raz złoty krąg księżyca wyłonił się zza jeziora Meris, odkąd wojska Kambizesa oblegały dumną i zda się szydzącą z potęgi Persów twierdzę Arsine.

Mała garstka Egipcjan broniła się zaciekle, Kambizez też zaciął się. Wszak wiedział, że za murami tak niedostępnemi dla Persów znajdują się skarby, których sława dotarła nawet do jego dalekiej ojczyzny.

Zaciął się i wkońcu zmusił Ksyrtesa, wodza Egipcjan, do ugięcia karku przed jego potęgą. Po zwycięstwie wódz odpoczywał i sycił się trjumfem.

Zwyciężonego Ksyrtesa na jego rozkaz wtrącono do lochu i wyłupiono mu oczy.

Zaś wódz Persów zrzucił ze swej piersi rdzawy krwią nieprzyjaciół pancerz, odłożył tarczę i miecz, a włożył na siebie płaszcz z fenickiego szkarłatu zrobiony, na palec wsunął wielki, złoty pierścień Ksyrtesa i przyjmował hołdy.

Wtem stanęło przed nim dwuch żołnierzy, niosąc na tarczy niewolnicę. Jest to Izys, córka Ksyrtesa, rzekł jeden z nich, piękna, lecz dumna i uparta.

Zbliżył się wódz, lecz niewolnica zeskoczyła z tarczy, cofnęła się krok w tył i spojrzała na niego ze wzgardą.

Rozgniewało to porywczego Kambizesa — Związać ją, krzyknął — do lochu rzucić!

Małoduszna branka chce czoła stawiać mnie, pogromcy Egiptu?

Brać ją!!!

Wydął wzgardliwie wargi i wyszedł z komnaty. Wszedł do parku. Tu wszystkie aleje czerwonym i złotym piaskiem wysypane, ocienione wysokiemi cyprysami, zbiegały się w jednem miejscu. Na środku niewielkiego placu w kształcie gwiazdy, wykopana i wielkiemi kamieniami otoczona sadzawka ,w której pławiły się olbrzymie krokodyle, jako ozdoba parku.

Kambizes usiadł na wykutej w kamieniu ławce, patrzył na leżące nieruchomo na brzegu potwory i dumał.

Może myślał o przyszłych zwycięstwach, może myślą był przy tych, którzy na jego rozkaz poszli zdobywać odległą i w piaskach pustyni zagubioną oazę Amonjum.

Może myślał o przebytych niedawno trudach, i o zaciętym oporze Ksyrtesa, może myślał o jego dumnej córce...

Tak. Przy niej był myślą swoją Syn Wielkiego Cyrusa... jak śmiała!? Odtrąciła jego ręce. Ze wzgardą patrzyła na niego, na najpotężniejszego na ziemi. Bezduszna niewolnica...

Właściwie dlaczego on się nią tak zajmuje? Wstał, wolnym krokiem okrążył sadzawkę i skierował swe kroki w stronę zamku.

Słońce zaszło i zmierzch już zapadał.

Jeszcze na niebie płynęły różowe chmurki i ptactwo wrzeszczało, wracając do gniazd.

Kambizez szedł wolnym krokiem i myślał... o niej. Jakaś dziwna moc pchała go do niej. Starał się otrząsnąć.

Co go mogła obchodzić jakaś niewolnica.

Za lekceważące zachowanie się, ukaże ją śmiercią, a w najlepszym razie każe oćwiczyć batami i koniec.

A jednak tego nie zrobi. Dlaczego? Kto mu zabroni? Czy jest kto potężniejszy na świecie?

Krzyknął na sługi, a gdy olbrzymi Nubijczyk runął przed nim na kolana, rozkazał stawić przed siebie niewolnicę, którą dziś wtrącono do lochu!

Potem wszedł do komnaty i usiadł na szylkretowem krześle Ksyrtesa.

Wprowadzono Izys.

Kambizes przymrużył oczy patrzył i długo, długo myślał. Wreszcie rzekł: Zbliż się. Jam dziś łaskaw. Proś o co chcesz.

Izys podnicsła dumnie głowę, strząsnęła czarne włosy na ramiona i błyszczące oczy utkwiła w twarzy wodza. — Panie — rzekła — tyś zwyciężył lud mój, tyś w oczach swych poddanych jest wielkim.

Jam twa niewolnica, którą ty możesz zabić. Jednak serce moje pała nienawiścią ku tobie, któryś umęczył mego ojca, któryś ludowi memu wolność odebrał.

Zdumiał się Kambizes, a oczy jego błysnęły złowieszczo. Niewolnico! — Krzyknął. — Chcesz mnie rozgniewać? Chcsz bym Cię zabił? Wyszedł z komnaty, by zdusić w sobie gniew. On, on, wielki wódz, który swą armją zwyciężył prawie cały świat, znosi takie słowa z ust niewolnicy.

Przed nim padali na twarz królowie, a ta zuchwała niewolnica spogląda na niego z dumą.

Każe ją bić, by krew tryskała przez skórę... Szalona, nie obawia się śmierci. W oczy mówi mu, że go nienawidzi

Lecz dlaczego on, który bożka Apisa własną ręką życia pozbawił, czuje taką słabość wobec tej niewolnicy.

Dlaczego nie każe rozedrzeć ją końmi?

Przecież jemu wolno. On jest najpotężniejszy... Jednak raco ją będzie zabijał? Czy za to, że jest inną, niż grono pochlebców, które go otacza? Za to, że w oczy mu powiedziała, że go nienawidzi?

Długo myślał Kambizes, a potem skinął na sługi. — Dać dla córki Ksyrtesa najpiękniejsze szaty i przygotować najpiękniejsze pokoje — rozkazał. Potem zamyślony zwrócił swe kroki w stonę jeziora Meris.

Czynił się zmierzch. Jeszcze wysokie szczyty cedrów gorzały złotem, lecz w dali panował mrok. Kambizes stał na krużganku i dumał.

Wtem wśród cedrowych drzew parku zobaczył ją... Izys.

Zeszedł na dół i zbliżył się do niej. — Słuchaj rzekł — zdjąłem z twych rąk łańcuchy. Nie gnijesz w lochu z ojcem twym. Nie dzielisz doli twych ziomków. Czy jesteś mi za to wdzięczną?

Izys odwróciła głowę i nie odrzekła nic. — Zrobiłem to dla ciebie — mówił dalej Kambizes — za dumę, za to, że nie obawiasz się śmierci. — Niewolnica stała nieruchomo, wpatrzona w olbrzymie cielska potworów, pełzających pośród głazów, otaczających sadzawkę.

Oblubienicą moją zostaniesz — rzekł wódz. Odwróciła się gwałtownie i dziko błyszczące oczy utopiła w oczach Kambizesa. —

Nigdy! — Krzyknęła. — Tyś potęgą swoją zwyciężył lud mój, okryłeś go hańbą, ojca mego umęczyłeś i chcesz bym była twoją oblubienicą? Nienawidzę Cię!

Odwróciła się i spojrzała w stronę sadzawki.

Olbrzymie potwory pełzały i sapiąc zsuwały się do wody.

Zrozumiał Kambizes zamiar córki Ksyrtesa. Skoczył w przód, chcąc ją chwycić, lecz Izys uskoczyła w bok. Poczęła biec po śliskich i omszałych głazach nad brzeg i rzuciła się w mętną wodę sadzawki. Zakotłowało się coś w głębi, zakłębiło, lecz po chwili wszystko ucichło, tylko księżyc przeglądający przez gałęzie drzew, mienił się na wburzonej powierzchni wody. A Kambizes stał milczący, głowę zwiesiwszy na piersi.

Wude.

Dlaczego kupiłem gazetkę?

— Franek! — Co? — Słyszałeś? — Podobno gazetka pojawiła się w gimnazjum!... —

— Wytrzyj sobie nią nos, a mnie daj spokój z takiemi głupstwami. A nie — to się wynoś — zagrzmiał tubalny głos Franka. Cóżeś taki zły? Nie umiesz tej greki — to ci przetłumaczę, ale gadaj ze mną po ludzku. Choć, przeglądniemy gazetkę. No — niech tam. Przetłumacz pierwej grekę. Rad nie rad musiałem tłumaczyć. Prosiłem ducha Ksenofonta i bogów Olimpu, by mi dopomogli. Jakoś tem poszło. — Teraz gadajmy o tej twojej gazetce. — Zaraz, przeglądnijmy ją. — Za słowami — czyn. Wyciągam gazetkę, rozkładam na ławce i zaczynamy czytać. — Ho, — Ho — popatrz redaktor pisze o samorządzie; — zauważył Franek. — No i porządnie pisze. Ma rację. Powinniśmy przecież zorganizować się i pracować dla dobra szkoły, bo przez to pracujemy dla państwa. Czytamy dalej. Co myślisz o tym feljetonie? Wcale dobry. „Siódma godzina". Ba autor pewnie niejedną chusteczkę znalazł we własnej kieszeni — mruknął Franek. Franek, ale to-to pisała jakaś bratnia dusza. Czytaj „Józek Szarski zęby miał zaciśnięte i mówił z początku twardo, bo wstydził się poprzednich łez...

Na świadectwie miał dwie dwóje: greka i łacina. Ojciec jeszcze na początku roku zapowiedział, że jeżeli zwolnionym nie zostanie, to go wypisze, bo na pełne czesne nie ma". Uczył się jak mógł, ale... nie udało się... Wypisał się gimnazjum..."

Psiakość. Wzruszyło mnie. Franek: Dajno mi pstyka, bo mnie coś za serce łapie. — Popatrzyłem na Franka. Frankowi łzy kapały... jedna... Hop.,, Druga leci po połatanej marynarce. Czysta perła. Franek podaj łapę. A otrzyjże gębę, bo jeszcze kto zauważy. — Franek rękawem wytarł oczy załzawione. Zaczął mówić: Dziękuję ci Klimek, żeś przyniósł i zapoznał mnie z naszą gazetką. Wiesz co? Miałem zamiar kupić sobie bryka. Bo widzisz, trudno mi idzie ta łacina. Ale nie. Kupię gazetkę. Więcej ona warta, niż sto bryków. Tak, bo to jest obowiązkiem ucznia. I wiesz będziemy pracowali z redaktorem. — Klawy chłopak. Ma ideę. Chodźmy mu podziękować. Wzięliśmy się za ramiona. Dzwonek zatrzymał nas w progu. Nie zdążyliśmy... Ba, tu, na piśmie podziękujemy mu. Redaktorze, kochany, złoty chłopaku dziękujemy Ci za trud i za pracę!

Jedrzejczyk.

——o§o——

Wywiad z Dymszą.

Dymsza w Krakowie! O! Takiej sposobności nie przepuszczę! Wywiad musi być! Ale... o święta naiwności. Postanowienie jest, owszem, lecz to nie wystarcza. Przedewszystkiem, Dymsza jest nieuchwytny. Wszakże postanowienie zapadło. Słowo się rzekło. Muszę zrobić z Teofilem... pardon... z Adolfem Dymszą wywiad. A propos Teofila, to ciągle zdaje mi się, że takie jest imię popularnego „króla komików". Ale to jego wina. Sam mnie w błąd wprowadził. I to nietylko mnie. Bo przecież przed niedawnym czasem krążył dowcip, pono autentyczny, że Dymsza zmienił imię, aby nie mieć nic wspólnego z „brunatnym" wodzem hitlerowców niemieckich. Ale to tylko mimochodem. Więc — wywiad. Naprzód przedstawię koleje mego „polowania" na Dymszę. Udaję się tedy do „Grand Hotelu". Jednak tu otrzymuję odpowiedź, na którą zresztą, znając nieco Dymszę z opowiadań, zgóry byłem przygotany: Dymszy niema „,Jak w południe wpadł. tak dotychczas nie był w hotelu" mówi mi portjer. Ale uprzejmy impresarjo artysty proponuje mi, abym wpadł do „Bagateli" w czasie 10-minutowego antraktu. W antrakcie udaję się za kulisy, dobrawszy sobie, w oczekiwaniu ciężkiej przeprawy, kolegę na pomocnika. Ale wszystko idzie gładko. Impresarjo wywołuje artystę z garderoby. Dymsza już zmienił skórę. Wychodzi do nas ubrany w marynarkę czarną, w czerwone paski, w jasne spodnie i słomkowy kapelusz.

„Panowie z „Gazetki" szkolnej, prawda?" zapytuje.

„Tak jest, i właśnie..."

„Wiem, wiem", przerywa Dymsza — podobnego wywiadu udzieliłem w Kaliszu dla tamtejszej Gazety szkolnej. Więc cóż, „złotko" chcecie wiedzieć.

„Zasadniczo chcieliśmy zadać Panu kilka pytań. ale ponieważ zbyt mało jest czasu na to, więc zadam Panu dwa, trzy powiedzmy, tylko. Ośmielę się zaryzykować twierdzenie, że połowę „odbiorców" pańskich filmów stanowi młodzież szkolna, która jest najgorętszą wielbicielką Pana. A czy można coś usłyszeć o jego stosunku do młodzieży?"

„Bardzo lubię młodzież" — odpowiada Dymsza" czego dowodem jest to, że z największą przyjemnością i sympatją rozmawiam z nią".

„Dlaczego tak mało czasu poświęca Pan Krakowowi?"

„Naogół mam bardzo niewiele czasu na tournê. Zresztą w żadnem mieście nie zatrzymujemy się dłużej, jak dwa dni".

„Kiedy znowu Kraków będzie miał sposobność oglądać Pana?"

„To nastąpi prędzej, niż Pan przypuszcza. Za dwa tygodnie znów tu zawitam."

Trrrrr... Dzwonek. To koniec antraktu.

„A więc za dwa tygodnie proszę wpaść" kończy Dymsza.

Dziękujemy za miłe zaproszenie i wychodzimy.

Po przedstawieniu widzimy Dymszę, wychodzącego z „Bagateli".

Ubrany jest nieco ekscentrycznie. Czerwony szal, jasny płaszcz. Na ulicy stoi gromada oberwańców, która wita go śpiewem „Barbara". Jest to tytuł przebojowej piosenki, śpiewanej przez Dymszę we filmie „Parada rezerwistów". Ten sympatyczny artysta wywarł na nas naprawdę mie wrażenie.

A więc — za dwa tygodnie opowiem wam o przebiegu mej drugiej rozmowy z Dymszą.

Mamber 358.

List.

I.

Z kwadratowego, małego okienka sączyło się mdłe, niewyraźno - żółte światło, a na tle zabrudzonej szyby, rysował się kontur jakiejś postaci.

„To tu?"

„Psst! Cicho!

Cień przylepił się do ściany, wspiął się...

„Zobacz! Tylko ostrożnie!"

Jur stanął na wystającym cokole, uchwycił się parapetu okna i patrzał w głąb izby. Przy stole, zawalonym długiemi skrzynkami siedział tyłem do patrzącego odwrócony, wysoki mężczyzna. Coś pisał. Odwrócił głowę.

Chłopiec cicho zeskoczył z zajmowanego stanowiska i połączył się z oczekującym go towarzyszem.

„To on! Poznałem go zaraz

„Co myślisz przedsiębrać... możeby tak.. policja.

E! Policja, — myślisz, że Wasyl będzie taki głupi, że poczeka, aż go „nakryją" co? zresztą... — nie mamy żadnych dowodów".

„Jakto! Przecież widzieliśmy go na granicy no i... teraz..."

Oddalili się szybko, długiemi bezszelestnemi krokami... kończyła się już Kościelna, mała, kręta uliczka... Zbliżali się do Rynku.

„Tak! ale Wasyl powie, że to nieprawda, lub.. e! zawsze wykręci się sianem! no ale już Rynek. Serwus".

„Serwus".

„Pamiętaj, bądź jutro u mnie popołudniu!

II.

Duża lampa, zajmowała honorowe miejsce na stole... światło jej było łagodne i miłe... W pokoju znajdowały się tylko dwie osoby, obie pilnie zajęte czytaniem. Wysoki, wspaniale zbudowany, o wesołej, uśmiechniętej zawsze twarzy, pan Walery i jego córka... Gdzieś, w którymś pokoju wiatr targał okiennicami i przerywał co chwilę ciszę.

„Alinko wiesz. mnie się coś tak zdaje, że Jur coś ostatniemi świętyjacku czasy coś nietego... wraca po nocach, obłocony, że świętyjacku żal patrzeć,... zmizerniał...

„Ależ cóż tato mówi... Jurek..."

„A tak, Jurek... napewno wdał się w jakie złe towarzystwo... ot już późna noc, a jego..."

„Właśnie,że idzie... o..."

„Uhm... robi słonia".

Jur rzeczywiście „robił słonia". Szedł po schodach ciężkiemi, zamyślonemi krokami do swego pokoiku... pchnął drzwi... potarł zapałkę... mokra... drugą,,, nagle... posłyszał szelest, ktoś jest w pokoju...

„Kto tu!"

Chciał zaświecić... ktoś wywrócił krzesło... w jaśniejszym prostokącie okna, zamajaczyła na chwilę ciemna postać i... — znikła, zapalił wreszcie lampę... odrazu wzrok jego zatrzymała duża... niezwykle duża, brudna, niebieska koperta... ale podbiegł do okna. — Nieznajomyześlizgnął się po rynnie na ciemną, nieoświetloną uliczkę i zginął w jednym z zaułków... Jur rozdarł nerwowo kopertę... list... do mnie?.,, wypadła mała karteczka... było na niej tylko parę słów:

„Żyję

B."

Chciwie wpił się oczyma w tak dobrze znany mu charakter pisma, w tak znany i tak ukochany... czytał parę razy... żyje, żyje, ojciec żyje!!!

Zbiegł z głośnym tupotem na dół...

III.

„Dobr... czy przyniósł kto panie Walery do mnie list?

„Hę?! list? cóż świętyjacku, odkąd to korespondencję pan prowadzisz?

„Ale list, list... taki w... niebieskiej kopercie..."

„W niebieskiej? — dziwił się uciesznie pan Walery — „a może tak świętyjacku w różowej hę? było się młodym — było".

„Alinko, może ty mi powiesz, czy ktoś mi przyniósł list?!"

„Wprawdzie nie wiem co ci siadło na nosie ale — tak i to... w różowej kopercie. Cóż ty na to?!

„W różowej! Nieprawdopodobna!"

„Ależ tak! nie chciał listu zostawić..."

„Kto?"

„No — ten chłopak — ale dał tę kartkę dla Ciebie."

„Jutro... o 8.- róg Kościelnej" czytał wolno niezgrabne litery.

Pan Walery śmiał się głośno...

„O świętyjacku — a ci przygoda — randka jak nic. No no!"

IV.

Jur nie mógł zasnąć... Myślał o dziwnych wypadkach ostatnich dni... o Wasylu — przemytniku — o tajemniczych listach... o wiadomości o ojcu..,

O... pamięta jak dziś ten dzień... wyczekiwał wtedy w oknie powrotu ojca... było już pod wieczór, a że była to jesień — było ciemno... o parę kroków od domu strzelano do ojca, potem jacyś osobnicy powiekli pana Bolesława do stojącego obok auta... odjechano, zanim blady z przerażenia Jur zdołał krzykiem zwrócić uwagę domowników... Miasto opanowane przez Bolszewików... ofenzywa polska.

...Znalezienie zwłok ojca... rozpoznano je po szczegółach ubioru i dokumentach twarz miał spaloną kwasem... On jednak, Jur, nigdy nie wierzył w śmierć ojca... bo... pamięta.., choć miał wtedy lat 10, że strzelano do ojca z tyłu, zwłoki zaś miały wszystkie rany... — z przodu.

I ten list... ten list... (C. d. n.)

PRACA SPOŁECZNA.

Co u nas słychać? (357).

Sprawozdanie nasze będzie się różniło nieco od zwykłego, suchego i do pewnego stopnia urzędowego zdania sprawy z pracy samorządu w gimn. św Jacka.

Chciałbym zaraz na wstępie zaznaczyć, że ktoby właśnie tych rzeczy szukał poniżej, musiałby doznać rozczarowania i zawodu. Nasze „sprawozdanie" jest tylko krótkiem zaznajomieniem kolegów z istotnym stanem rzeczy w naszem gimnaz., jak pracujemy, co zrobiliśmy dotychczas. Nasza praca jest skromna, jak skromnemi są środki do naszego rozporządzenia. Nie możemy się pochlubić jakiemiś głośnemi wyczynami na terenie pracy społecznej, ale to, co dotychczas spełniamy, jest rzetelną, cichą pracą ludzi, postawionych na swoim stanowisku i odpowiadających swemu zadaniu całkowicie.

Przedewszystkiem rzuca się w oczy w naszem gimnazjum brak odpowiedniej sali, gdzieby mógł samorząd organizować imprezy, gdzieby mógł okazać dowody swojej twórczej żywotności. Pozbawieni tej areny, musimy jedynie ograniczyć się do spełnienia czynności pewnego rodzaju narzędzia w ręku władz szkolnych, jako czynnik pośredni między dyrekcją, gronem profesorskiem, a uczniem. A tak postawiony nasz „Samorząd" całkowicie odpowiada nałożonym na siebie obowiązkom i może poszczycić się niejedną na tem polu zdobyczą.

I tak 5 listopada 1933 roku odbyła się w naszem gimnazjum serdeczna, bardzo podniosła, chociaż również bezgłośna uroczystość pożegnania dotychczasowego naszego dyr. p. Okrzańskiego. Bardzo rzadko zdarzają się w życiu tak szczere manifestacje uczuć młodzieży, która w dyr. Okrzańskim utraciła najlepszego swego przyjaciela, bardzo rzadko szkoła znajduje na stanowisku dyrektora człowieka o charakterze tej miary, co dyr. Okrzański. Niemal wszyscy t. zn. ja, jako prezes Samorządu, ks. prof. Madeja, jak i przedstawiciel Koła Rodzicielskiego, podkreślaliśmy te właśnie wartości w tej niezwykłej osobie. Nowy nasz włodarz p. dyr. Kedryński okazał się niemniej od swego poprzednika człowiekiem szczególnie ujmującym, i bardzo dobrze znającym dusze młodzieży. Pozwala to rokować nam jaknajlepsze nadzieje na przyszłość, że współpraca z nowym naszym kierownikiem, pójdzie w kierunku jaknajściślejszego zacieśnienia węzłów zaufania pomiędzy uczniem a profesorem. — Wogóle mamy szczęście do pp. dyrektorów i profesorów. — Panuje u nas harmonja między studentem, a wychowawcą. Możemy być z tego dumni, bo nasze grono pedagogiczne jest naprawdę wyjątkowe. Podobnie również bierzemy udział w pracy ogólno-państwowej. Naszemi wątłemi rękami przykładamy na równi z innymi cegiełkę w budowę potęgi Ojczyzny. Na zebraniu odbytem 11. listopada gimnazjum nasze subskrybowało Pożyczkę Narodową na 200 zł. Pozatem we wszystkich świętach i obchodach narodowych bierzemy zawsze czynny udział. Orkiestra nasza, w składzie bardzo silnym zawsze imponuje na ulicach swą postawą, liczbą i jakością wykonywanych utworów. Również z zakresu urządzania wycieczek „Samorząd" nasz może się wykazać doskonale zoranizowaną wycieczką do Wilna pod kierunkiem A. Jury, oraz prof. Birczyńskiego i Dr. prof. R. Gostkowskiego, jak i wycieczką do Sierszy, odbytą w celach naukowych. Nakoniec muszę zaznaczyć, że ten pobieżny szkic naszej pracy nie ilustruje bynajmniej jej całokształtu. W gimnazjum naszem jest wiele jednostek zdolnych i inteligentnych.

Dajcie im pole do popisu — a więcej coś o nich usłyszycie.

Prezes: Prauze.

—o§o—

Koło im. Marszałka Józefa Piłsudskiego 356,

przeżywa obecnie II-gi rok swego istnienia; I-szego Marszałka i Wielkiego Budowniczego Polski Odrodzonej przybrało sobie za Patrona dn. 19.. III. 1933, w pełnem przekonaniu swych członków, iż On może i powinien, jak nikt inny, patronować trzeźwym a szlachetnym zamierzeniom i przedsięwzięciom skrzydlatej, pełnej sił młodzieży polskiej. Członkowie Koła nie chcą przytem pozostać w tyle za innemi kadrami tej młodzieży, które dzisiaj oświadczają:

„Czekamy, by nas głos Twój, co brał na armaty,
Na warsztaty powołał i drogi wytyczył...
Żebyś nas tylko schłostał jakiem strasznem słowem,
Byśmy zbyli lenistwa, ślepoty, zawiści
I spięli miljoni grzbietów i podnieśli głowy —
W pierwszej brygadzie pracy pierwsi legnoniści!...

(Jerzy Braun: Wiersz o Piłsudskim).

Jedna z dziedzin, w których młodzież zaznaczyć może własną inwencję i chęć, aby być pożyteczną, jest technika robót ręcznych (w metalu i w drzewie). W tym zakresie wykonano w Kole cały szereg prac (odbiorn. radjowe, przyrządy do fotografji, sprzęt sportowy etc. etc.) zainteresowanie zaś szerzy się przez urządzanie wystaw i konkursów. (W grudniu 1933 r. urządzony został np. konkurs foto-amatorski młodzieży krak. szkół średnich, połączony z wystawą). Zwiedzanie zakładów przemysłowych i pracowni (w br. krak. fabr. maszyn huty Zieleniewskiego oraz odpowiednia lektura — uzupełniają prace Koła w tej dziedzinie...

Obok sekcji Technicznej istnieje Sekcja Współżycia Kolżeńskiego, mająca za zadanie pracę kulturalno - towarzyską i ideową wśród młodzieży. Przedyskutowanie aktualnych zagadnień życia społecznego stanowi zazwyczaj program zebrań tej Sekcji. Urządzane wieczorki czy akademje (w ub. r.: akad. Wagnerowska, wieczór góralszczyzny, w bież. r. szk. impreza ku uczczeniu pamięci króla Jana III) tworzą pomost w zbliżeniu uczniowskiem.

Nie brak nawet w organizacji troski o zaprawę jej członków w najzdrowszych gałęziach sprawności fizycznej (w lekkiej — atletyce, wioślarstwie kajakowem, turystyce, narciarstwie) — nie brak pozytywnych rezultatów żywego zajęcia się wychowaniem fizycznem (Sekcja Wychowania Fizycznego). Tak przedstawia się zarys pracy Koła. Nakoniec wypada dorzucić, iż gimn. 356 miało w ub. r. szk. otrzymać pisemko, redagowane przez Koło im. J. Piłsudskiego. Los zrządził inaczej...

Za Zarząd:
J. Korosadowicz — prezes honor.
Wilkorzewski Tadeusz — prezes.

Sprawozdanie z działalności „Świetlicy" gimnazjum 358.

„Świetlica" rozpoczęła piąty rok istnienia, pozostając pod opieką prof. Patonia Stan. Na początku roku szkolnego został wybrany Zarząd „Świetlicy", w skład którego weszli: kol. Maciek Patoń — przes. kol. Edward Nega (VIIb) — sekretarz, oraz koledzy: Bolland (Va), Czubek (VIIa) Perzkowski (VIIb), Manber (VIIb) i Cwancygier (VII b), jako członkowie Zarządu.

„Świetlica" posiada własny, piękny lokal, złożony z trzech dużych sal. W „Świetlicy" koncentruje się całe życie młodzieży naszego gimnazjum. — Przez prenumeratę szeregu pism krajowych i zagranicznych „Świetlica" stara się podnieść poziom kulturalny uczniów. Czterolampowy aparat radjowy uprzyjemnia chwile audycjami ze stacyj polskich i obcych.

Przy „Świetlicy" istnieje „Koło pong-pongowe", organizujące szereg turniejów z innemi gimnazjami i samo biorąc udział w licznych rozrywkach o mistrzostwo szkół krakowskich. Następnie zorganizowane jest „Koło filatelistyczne", które odznacza się wielką żywotnością i wyrabia wśród młodzieży zamiłowanie do zbierania znaczków.

Za Zarząd
Patoń.

— o —

TEATR I LITERATURA.

Przedstawienie szkolne Kordjana

Początkowo było lepiej z tym teatrem. Obiecywano nam najmniej jedno przedstawienie miesięcznie, przyobiecano za bardzo dostępną każdemu cenę dawać wspaniałe uczty duchowe — dziś aj — wydaje mi się, że jednak coś tam popsuło się bardzo „w tem królestwie". Młodzież niecierpliwiła się, wyczekiwała nowej sztuki — wreszcie uraczono nas „Kordjanem". Wypełniliśmy do ostatniego miejsca widownię teatru miejskiego. Po niezrównanem, jak zawsze, przemówieniu prof. Skoczylasa, odsłoniła się scena i przed oczyma naszemi przedefilowały wyjątki mocno „obciętego" Kordjana".

Jeśli chodzi o całość, wypadła ona b. dodatnio. Wszystkim jednakże bez wyjątku podobały się najbardziej scena na „Mont Blanc" i chwila, kiedy Kordjan walczy z „Imaginacją" i „Strachem" u wrót sypialni cara.

Co do poszczególnych wykonawców wszystkich porywała żywiołowa gra ks. Konstantego. P. dyr. Osterwa miejscami zabłysnął w pełni swojemi niepospolitemi zdolnościami, zwłaszcza w wyżej wymienionych scenach na Mont Blanc i przed komnatą cara.

Do ciemniejszych stron całego przedstawienia należały momenty, w których Kordjan rozpływał się w marzeniach. Były one mimo dużych skrótów nietylko nudne, ale i mdłe. Poprostu nużyły. Również prawie żadnego na widzach nie zrobiła wrażenia scena ostatnia.

Mimo tych braków całość przewyższała o wiele przedstawienia poprzednie.

Nakoniec wypadałoby się zwrócić z pytaniem: Dlaczego przedstawienia szkolne przeniesiono na godziny popołudniowe?

Zdaje mi się, że to bardzo ujemnie odbije się na frekwencji młodzieży, uczęszczającej dotychczas z zapałem na każde przedstawienie. A szkoda!

K-ski.

Pisarz i choroba.

Każdy, kto chociaż trochę jest „oczytany" w nowej literaturze polskiej, nie może mieć chyba wątpliwości, że będzie tu mowa o Choromańskim. Pisarz ten, który jest jeszcze dotąd nietylko modny, ale sławny mówi: Niema większego nieszczęścia od choroby. I ma prawo to powiedzieć, bo sam jest beznadziejnie chory.

Choromański urodził się w Rosji, z której potem uciekł. Jako pamiątki tej odyssei pozostały mu: powieść „Biali Bracia" i, prawdopodobnie nieuleczalna, gruźlica kolana. Książka, napisana po trzech latach nauki polskiego języka, nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia, tem bardziej, że czytałem ją po „Zazdrości i medycynie". Gruźlica kolana zmusza Choromańskiego do przebywania w sanatorjach polskich i ostatnio zagranicznych. Stosunek nasz do choroby jest zwykle patetyczny i sentymentalny. Dlatego też opisy chorych rażą swoją przewrażliwioną czułością w rodzaju: a przykryj się, nie przezięb się, nie objedz się i t. p. Działa tutaj obawa, aby nie okrzyczano nas jako ludzi bez serca. Choromański nie potrzebuje się tego obawiać. Sam przecież jest chory, a brak współczucia dla siebie jest ogólnie uważany za zaletę pod nazwą bohaterstwa. Udało się mu zupełnie osuszyć z łez swoje chorobliwe opowiadania, że aż to razi, a sam pisarz jest podobny do sejsmografu, notującego największe wstrząsy ziemi, podczas gdy wszyscy ludzie już wyginęli.

Cały patos człowieka, borykającego się z chorobą przenosi Choromański na lekarzy. Operacja, dokonywana przez chirurga ma siłę oddziaływania opisu katastrofy morskiej u Conrada. Kto zacznie czytanie „Zazdrości i medycyny" od opisu pechowego dnia chirurga Tamtena, temu nie będzie sprawiać nieprzezwyciężonych trudności sztuczna konstrukcja i niestrawna zazdrość w tej powieści. Ja czytałem ten epizod dwa razy, a czytałbym go więcej, gdybym miał książkę w domu.

Choromański sprawił, że mój przyszły zawód, medycynę będę studjował z ciekawością i przyjemnością.

aka.

FILM.

(redaktor T. Hołuj.)

Sfilmowana niewidzialność.

„Niewidzialny człowiek" nie wygląda na sfilmowaną powieść. Nie czytałem tej książki, nie mogę więc porównać jej z filmem, ale wydaje mi się że fabuła została wydatnie zredukowana na korzyść samego problemu niewidzialności. Zagadnienie to jest bardzo filmowe i chociaż nie wykorzystano całego zapasu możliwych epizodów, ciekawie ujęte. „Niewidzialny" rozbiera się, jeździ na rowerze, mówi, pali papierosa, rzuca kuflami piwa, pije, je, zabija ludzi...

I tu przechodzimy do treści. Młody uczony z zestawienia kilku składników chemicznych, między innemi oczywiście wyciągu z pewnej rzadkiej rośliny indyjskiej, spreparował środek na odbarwianie ciała ludzkiego. Stał się niewidoczny! Zachował tylko kształt, spełnia dalej funkcje fizyczne i psychiczne. Ale z temi ostatniemi jest coś nie w porządku. Wyrzucony z prowincjonalnej gospody, gdzie chciał w spokoju pracować nad sposobem „uwidocznienia się" zrzuca ze schodów oberżystę i obija wielu ludzi. Na to zgoda. Nerwy, nerwy... Potem na ulicy wyczynia dalej drażliwości. No, trudno. Ale dlaczego przestawia zwrotnice i strąca cały pociąg w przepaść? Chyba dlatego, aby pokazać ogromne możliwości człowieka niewidzialnego. Albo dlatego, że panowie filmowcy zapomnieli, że chociaż niewidzialny, powinien mieć jednak przynajmniej psychikę ludzką. To też powoli tracimy całą sympatję dla nieszczęśliwej ofiary nauki. Nie ratuje go nawet w naszych oczach nieszczęśliwa miłość. Nie wierzymy mu, że wszystkie wysiłki uczynił dla ukochanej. Chyba nie dla niej zabił swego konkurenta z premedytacją w sposób wyrafinowany, kwalifikujący go „na karę śmierci z odebraniem praw obywatelskich", z powodu aż nadto zbytniej zemsty. Dlatego, kiedy policja otacza stodołę, w której chrapie niewidzialny człowiek normalnie myślący nie odczuwa już dla niego zbytniej przychylności. A „bywalec filmowy" jest w rozterce, bo czuje, że nie może być przecież po stronie policji, przeciw głównemu bohaterowi. Tak przecież „nie wypada". I co tu teraz będzie?

Wtedy przychodzi na pomoc niewidzialność człowieka, ekspresja jego gry. Przekonywa nas i wzrusza. Z podpalonej stodoły na świeżo spadły śnieg wybiegają ślady. Wyciskają się podejrzliwie, bojaźliwie, z wahaniem... tropionej zwierzyny. Widzimy niewidzialnego. Cała jego tragedja odbija się w tych kilkunastu śladach. I zapominamy mu wszytko .Drżymy o jego los.

I nagle strzał. Dwa strzały. Niewidzialne ciało wali się w śnieg.

Śmierć. **aka.**

—o§o—

Nowe filmy.

Wyświetlane są w Krakowie dwa wielkie filmy historyczne. „Katarzyna Wielka" i „Życie prywatne Henryka VIII". Oba te filmy są produkcji angielskiej i obsadzone czołowemi europejskiemi i amerykańskiemi gwiazdami. W pierwszym wybija się na pierwszy plan Elżbieta Berger, kreująca tytułową rolę — bez zarzutu i Douglas Fairbanks (junior) jako car Piotr. Mimo widocznego wżycia się w swą rolę — gra nienadzwyczajnie. Wystawa wspaniała — a kostjumy wiernie oddane. Film jednak przeładowany nudnemi, mającemi charakteryzować osoby — djalogami i masą zbytecznych sentencyj. Mam wrażenie, że bez E. Berger film ten byłby zupełnie bezwartościowym — stwarza ona bowiem kreację pełną naturalności i poczucia artystycznego — jak naprzykład w tej scenie, gdy oszołomiona szczęściem i radością ludu siada Katarzyna jak małe dziecko — na stopniu.

„Henryk VIII" jest sklecony na tę samą formę i wedle tego samego założenia. Charles Langhton wspaniałym, pysznym typem — odtwórcą króla Anglji. Twarz jego — tak charakterystyczna i tak dramatyczna — nie była dotychczas filmowo należycie wyzyskaną. Jest on artystą — w całem tego słowa znaczeniu. Reżyserja dwu wspomnianych obrazów razi może zbytniem lubowaniem się realizatorów w szczegółach np. przesadne zaznaczanie znajomości starych form mustry (Katarzyna W.") czego upiknął Cecil Mille w „Cieniu Krzyża" na korzyść wzorowo wypracowanych scen zbiorowych.

—o§o—

Morze. Krótmetrówka w Uciesze

Wreszcie obdarzono nas piękną impresją. Znikną może już na zawsze osławione, modne, nieudolne „filmy" krajoznawcze ,— które nawet najpiękniejsze fragmenty polskiej architektury, czy przyrody, pokazywały nam odrażająco. Nie widać już wiecznego podróżnego z głupawo nasuniętym beretem, tarapiącego swe graty w poprzek i wzdłuż ekranu.

Gralski pojechał nad morze i to, co tam widział, pokazał nam w swoim nowym filmie. A trzeba mu przyznać, że widzi filmowo. Zdjęcia często mało oryginalne, czasem banalne, porównania nie nowe (fale — tygrysy) ale jako całość film odbija bardzo korzystnie od bezwartościowej masy dodatków kinowych. Dobry montaż, ruchliwość kamery, czasem śmiałe podejście do tematu, techniczna czystość zdjęć, oto zalety miłej krótkometrówki. Oto film idący. **aka.**

—o§o—

Wiadomości filmowe.

a) Nora Ney — po długiej przerwie wystąpi razem z F. Brodniewiczem w filmie reżyserji M. Znamirowskiego pt.: „Noc księżycowa".

b) „Pieśniarz Warszawy" z E. Bodo będzie następną premjerą „Apolla".

W dziennikach ukazała się notatka, że uchwałą sejmową (na wniosek posła Pochmarskiego z dnia 22 u. m.) wszystkie filmy dla młodzieży od lat 17, mają być dozwolone. Nareszcie! Czy to prawda?

Ta-Ho 358.

—o§o—

Zniżki samorządowe do wszystkich kin krakowskich z wyjątkiem „Promienia" i „Świtu" są do nabycia u kol. Jurkiewicza 358. 7a.

NAUKA.

Teorja lotu.

(Dokończenie)

Siła nośna samolotu powstaje wskutek **szybkości**. Zdarza się czasami, że w czasie lotu wskutek nieuwagi pilota samolot straci szybkość. Wówczas siła nośna samolotu przestaje istnieć a samolot bezwładnie zaczyna opadać ku ziemi. Strata szybkości jest jedną z przyczyn wywołujących w lotnictwie katastrofy.

Dążeniem nowoczesnego lotnictwa jest zmniejszenie do minimum szkodliwej siły oporu. Przedmioty kanciaste wywołują większy opór, niż przedmioty kuliste. Powierzchnia gładka wywołuje mniej oporu, niż powierzchnia nierówna i chropowata.

Badania i doświadczenia wykazały, że najmniej oporu powietrza wywołuje przedmiot w kształcie przypominający spadającą kroplę wody. Dlatego też nowoczesne lotnictwo nadaje kadłubowi, skrzydłom, częściom samolotu **kształt kroplowy**. Przecinając poprzecznie czyto goleń podwozia czy też jedną z podpórek, przekonamy się, że mają kształt kroplowy.

Korczyński 358.

Lotnictwo, jego rozwój i działanie.

Wielkim przewrotem w sposobach wojowania było wprowadzenie lotnictwa, do rozwoju, którego przyczyniła się w głównej mierze wojna światowa. Lotnictwo z czasów wojny możemy podzielić zasadniczo na następujące działy:

1) Lżejsze od powietrza — balony wolne, balony na uwięzi, sterowce.

2) Cięższe od powietrza — samoloty, latawce (mało używane).

Balony wolne, na uwięzi, samoloty były specjalnością Francji. Sterowce (Zeppeliny) wyrabiane były przez Niemców (we Friedrichshafen).

Z początku wojny samoloty nie cieszyły się popularnością: „była to zabawka Francuzów, którzy nie umieli budować Zeppelinów". Lecz ta zabawka poczęła się coraz to silniej i silniej rozwijać, grożąc coraz to więcej Zeppelinom i zmuszając wkońcu Niemców do budowania również samolotów. Teraz na widownię walki powietrznej występują samoloty. Balony wolne zostają zarzucone niemal zupełnie. Występują jedynie sterowce i balony na uwięzi. Z początku lotnictwo działało tylko na własną rękę, nie mając połączenia z ziemią. Walka w powietrzu była bardzo prymitywnie prowadzona zapomocą rewolwerów, karabinów. Bomb nie znano. Ziemię atakowano zapomocą strzałek metalowych. Od 1915 zaczyna się silny rozwój obrony, ataku i współdziałania z lotnictwem. Broń ta z początku więcej doświadczalna, wchodzi w skład wojska i zaczyna oddawać coraz to większe usługi. Samoloty coraz to lepsze zaczynają być wyposażone w karabiny maszynowe, bomby, aparaty fotograficzne i t. d.

Najważniejszą funkcją lotnictwa jest rozpoznanie. Przeprowadza się je zapomocą fotografji, np. rozpoznanie rowów strzeleckich i obserwacja ognia. Badanie zdjęć lotniczych uzupełnia wskazówki szkiców terenowych. Umożliwia określenie wartości względnej urządzeń obronnych, jak np. szerokość nasypów i sieci, rozkład przejść po nich, stan prac saperskich i t. d. Obserwacja oraz kiedowanie ogniem należy już do współdziałania. Obserwacja ognia własnej artylerji hamowana była trudnemi warunkami w szczególności porozumienia się z ziemią. Pierwsze wstrzeliwania wykazono przy pomocy ruchów płatowca, ogni sztucznych i rakiet. Trudne te warunki usunął po części radjotelegraf, nie całkiem, gdyż obie strony tj. samolot i baterja są ograniczone do kilkunastu znaków. Jest to jednak duży krok naprzód. Obserwator widząc dokładnie odchylenia pocisków od celu, może korygować ogień dość dokładnie, nadając rozkazy radjem. **Wydro.**

(C. d. n.)

SPORT.

Redakcja „Gazetka"..,

Redakcja Gazetki w porozumieniu z Samorządami 356, 357, 358 i 444 urządza turniej gier sportowych. Zgłoszenia przyjmuje i wszelkich informacyj udziela kol. Grzybowski, gimn. 357.

„Gazetka zorganizowała turniej ping-pongowy".

o mistrzostwo gimnazjum 358. Przy licznym udziale zawodników turniej rozpoczął się 25-go lutego. Po dotychczasowych wynikach w tabeli prowadzi kol. Steczko, drugi kol. Roczniak, trzeci kol. Opacz.

Nagrodami w turnieju będą artystyczne dyplomy. **M. Patoń.**

Koło sportowe przy gimn. 356

im. B. Nowodworskiego urządza zawody siatkówki o mistrzostwo Gimnazjum.

Dotychczasowe wyniki przedstawiają się następująco: 8a — 5a 2:1, 6a — 4a 2:0, 5b — 6b 2:1, 5a — 7 2:0, 5b — 8a 2:0 v. o., 6a — 5a 2:0, 5b — 4a 2:0, 5a — 4a 2:0, 6b — 5a 2:1, 5b — 7 2:1, 6a — 7 2:1, 6a — 8a 2:0 v. o.

Pierwsze miejsce dzielą na razie klasy 6a i 5b po 8 punktów.

—o§o—

HUMOR.

O niektórych członkach abo i sprawach człowieczych,

(Wypisy z „Gadek o składności członków człowieczych" Andrzeja Glabera z Kobylina. 1535. Wydanie Rostafińskiego).

137. Skąd się paznochty bierzą? Odpowiedź: Dymy z grubych wilgotności człowieczych, gdy się rozchodzą po członkach człowieczych, niektóre z nich wstępują w końce palców, tamże od zimności wiatru okolicznego zsiadają się i twardzieją, z tychże się paznochty mnożą.

12. Czemu szubieńcom wiszącym rostą włosy? Odpowiedź: bowiem oni wiszą na gorącu słonecznym, które, wilgoci w ciele ich roztapiając, podnosi aże w głowę, stądże włosy rostą.

110. Czemu człowiek oniemieje, gdy go pirwej wilk uźrzy? Odpowiedź: Bowiem wilk jest zwierzę, które ma mózg barzo zimny. Też źrze tak wiele nieraz, iż ma na trzy dni dosyć; także z niego pochodzi para zimna, a jadowita, którą z wiatrem przychodzi aż do ust człowieczych i ciągnie ją w się człowiek dychanim, także ona zarażając, ściąga w człowiecze trestki głosowe, iż nie może wolno mówić.

170. Jako się ma wątroba w ciele? Odpowiedź: Tak się ma przy żołądku, jako ogień koło garnca. Ogień mocą swą, karmią w garcu zagrzewa, trawi i wilgotność z niej parą wyciąga: takoż wątroba żołądek zagrzewa, a wilgość z potrawy w się ciągnie, którą w sobie zwarzywszy do serca posyła, potym serce obróciwszy w krew takową wilgotę wszystkim członkom udziela...

178. Czemu krew jest czyrwona? Odpowiedź: z czego się poczyna z tego też i farbę na się bierze; ale mięso wątrobowe, skąd się krew bierze, jest czyrwone, przeto i krew jest takowa.

211—212. Czemu słodzona czyni chichotanie, to jest zbytnie śmijanie, a od chichotania boli wnątrze? Odpowiedź: Gdyż w w słodzonie jest miestce melankoliej, które czyni smątek, przeto gdy przydzie ku słodzonie radość, rzecz przeciwna smutkowi, gdy ją porusza tak, iż się musi trząść, bowiem rzeczy przeciwne zawsze ze sobą walczą; przeto, gdy się słodziona imie bardzo ruchać, co bywa w chichotaniu, tedy wszystkiemi członkami zatrzęsie. Tu się godzi wiedzieć, iż członki w ciele też różne wnętrzne sprawy mają: serce czuje, mózg rozumie, płuca mówią, wątroba grzeje, żółć się gniewa, słodziona śmieje, społem miłują nyrki.

— Co zrobić, gdy się weźmie coś bardzo gorącego do ust? i na to pytanie jest u Glabera odpowiedź:

...gdy się przyda co gorącego w usta włożyć, rychlej zatłumisz onę gorącość, zatworzywszy wargi, niż kiedyby wiatr w sie wpuszczał, jako to niektórzy głupi działają. Przyczyna tego, iż ciepło przyrodzone z wnątrza wychodząc, gdy tak usta będą zatworzone, tedy gorącość owej karmiej mgli i zatłumia, którą wiatr wpuszczony więcej rozżarza, jako i ogień się żarzy, gdy ji rozdmuchają. Nie wierzyszli, możesz doświadczyć.

342. Czemy od zbytniego jedzenia fig wszy się mnożą? Odpowiedź: Bowiem owoc figowy rychło się zagnije, takież na własność wywodzenia z wnątrza wilgości skażonej aże pod skórę, z której się wszy zalęgają.

Podał Z. E-r.

„DROBNE OGŁOSZENIA"

Uwaga! Ważne dla większych gospodarstw rolnych. Pozostawiony w zbożu wypłaszam wszelkie szkodniki w promieniu 10 km. Nazywam się

Eka 444.

* * *

Rogalek, bokser W. K. S. „Wawel" poszukuje trenera w wadze nie lżejszej jak ciężka. Kupi również chętnie broszurę „Jak zwyciężać, gdy biją".

* * *

Zgubiłem wątek mej najnowszej powieści. — Łaskawy znalazca zechce zwrócić się pod adresem gimn. 357. **K-ski.**

* * *

Kwieciste listy dla zakochanych piszę sprawnie, pięknie, tanio. **„Wpływowy wójt 444".**

* * *

Trzech korepetytorów do nieobsadzonych jeszcze przedmiotów, tj. gimnastyki i śpiewu poszukuje Kaligula gimn. 444.

* * *

Wyuczamy prędko i bezboleśnie nadzwyczaj melodyjnego języka własnej konstrukcji „Idiostyl" Adres telegraficzny: gimn. 444 Ciapcioł.

* * *

Okazyjnie kupię dojną kozę. Zgłoszenia gimn. 444 pod „Ghandi z Zaporoża".

Czytelników z wszystkich tych gimnazjów, których Samorządy nie mają przedstawicieli w Redakcji „Gazetki" prosimy o zakładanie Komitetów Redakcyjnych w składzie 3 osób, któreby następnie porozumiały się co do warunków współpracy z redakcją. Jurkiewicz.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

7. Szarada imieninowa.

Oto dziś swoje imieniny święci
Sześć — siedem — ósmy Polski Odrodzonej,
Co Polskę ludzkiej przypomniał pamięci
I oswobodził swojemi ramiony,
Gdy w dźwiękach **sześć — siódmego,** swej „Brygady",
Rzucał swe wojsko na wrogów gromady.
I zwyciężywszy wreszcie, polskiej nawy
Czwarty i piąty ujął stery w dłonie
Dla uwiecznienia nieśmiertelnej sprawy,
Przeciw wrogowi ku wspólnej obronie,
Który się sroży na nas, **trzecie — drugie,**
Jak Niemcy całe szerokie i długie.
One napróżno ręce, **piąte — trzecie**
W stronę Pomorza wyciągają chciwie!
W — czwarte wy serca z piersi nam wydrzecie,
Zanim będziecie rządzić na tej niwie.
Ziemi słowiańskich mieszczan i rycerzy,
Która do **Dziewięć — dzesiątej** należy!
...Teraz tysiące głosów w niebo strzela,
W których jest jedna modlitwa złączona
Za zdrowie Polski tej Odnowiciela,
Który dziś święci dzień swego Patrona,
A na rodaków swych, wszystkich odrazu,
Patrzy z wpad **szóstych** swojego obrazu.
I Józefowie, Anny, **Szóste — trzecie**
Wołają: **Pierwsze** żyje! Niechaj żyje!
Całe!! (Napewno teraz odgadniecie,
Jaki to okrzyk w szaradzie się kryje).
I my krzykniemy z piersi swej natchnionej:
Wiwat Marszałek Polski Odrodzonej!!

8. List czytelnika Gazetki do Redaktora.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!
Chcę wypowiedzieć się w Gazetki sprawie.
Mnie nie poznaje Pan Redaktor może?
Toż my na jednej siadywali ławie,
Jak przyjaciele dobrzy (każdy powie),
Czwarte — dziewiąte najlepsi uczniowie.
Nasza Gazetka (niech ją bogi strzegą!)
Przytłacza serce moje swą wielkością
I wycisnęła krople **czwór — siódmego,**
A w mej gardzieli stanęła wprost kością:
Coś podobnego jeszcze nie widziałem,
Choć doświadczeniem cieszę się niemałem!
Już Redaktorze, Tobie się nie dziwię,
Bowiem charakter Twój znam dobrze przecie,
Ale tym innym na tej żyznej niwie
Życzę obfite zbierać **czwór — pięć — trzecie.**
I nie dziwota wszakże, miły Boże,
Że tyle **szóstych** leci w Waszą stronę
Kiedy pracami temi, Redaktorze,
Macie **jednaste — trzecie** wypełnione;
Gazetka, która wysiłki jednoczy,
Kryształkiem **dwa — dziesiątej** razi oczy
Brak Wam spoidła, **trzynaście — siódmego,**
Któryby zlepił Wasze dobre chęci;
A tu czas leci i miesiące biegą,
Zmienna Fortuna różnie Wam się kręci:
Może zaświeci **dwunastych** blaskami
I porządeczek zrobi między Wami?
Pytam Was jeszcze: kto pisze te wiersze,
Co tyle mają słów ciemnych i pustych?
Niech on hoduje wspak ósme i pierwsze,
Kiedy w natchnieniu tyle na **wspak szóstych.**
Ja go ostrzega tylko, a nie grożę,
Więc oświadcz mu to, Panie Redaktorze!
Nie mówię tego, że Wy w młodzież szkolną
Wlewacie **drugie — trzynaste** odżywcze.
Powiecie: Hola!, Tak mówić nie wolno!
Tak się wywdzięczasz za trud, niegodziwcze?
Przegalopował jakoś pan dobrodziej!!
A ja odpowiem: krytyka dziś w modzie!
Moja szarada Waszych prac nie przetnie,
A więc darujcie, żem taki zuchwały!
Kiedy już **wszystek** macie, no to świetnie,
Wiedzcie, że gruntem Gazetki jest **cały!**

Czytelnik.

Kto otrzymał nagrodę?

1 bezpłatny bilet do kina za najtrafniejsze rozwiązanie konkursu z poprz. n-ru otrzymał kol.: Spiewla St., ucz. kl. Va I. P. Gmin. im. B. Nowodworskiego w Krakowie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Kol. Demborski 358. — „Do apelu' w nast. numerze. Prosimy o dalsze.

Kol.Bełtowski 358. — „W dniu imienin" nie.

Kol. Walaciński 356. — „Koledzy" nie.

Kol. Trybowski 357. — „Nasz Wódz" do teki. Prosimy o dalsze.

Kol. D—cki 357. — „Światła i cienie łażenia za budę" z łatwo zrozumiałych powodów nie. Proszę nie zdradzać tajemnic zawodowych. Coby to było, gdyby jakiś profesor dostał do rąk?

Kol. Hołuj 358. — Wiersze do teki. Prosimy o dalsze.

Kol. Ruschil 357. — Prosimy o dalsze.

Kol. Kwinta 356. — „Kapral Skóra" nie.

Sprawozdanie Świetlicy 357 w nast. numerze.

Kol. Walaciński 357. — Z wyjątkiem „Kuźni" nie.

Prosimy pisać atramentem, czytelnie i jednostronnie — by użyć w pracy Redakcji.

UWAGA: Podpisywać się należy pełnem nazwiskiem, z podaniem gimnazjum. Pod pseudonimem pisują tylko członkowie Redakcji.

REDAKCJA.

Wydawnictwo „Gazetki" Sam. ucz. gimn. 358. — Redaktor nacz.: kol. Jurkiewicz. — Kom. red.: kol. Gąssowski, Kański (358), Estreicher Z., Estreicher L., Skocz M. (356), Kruczkowski B., Lesner. Skowroński (357), Ita Dąbrowska, Wydro, Haraszin (444). Kurator: p. prof. Tad. Szantroch.
Okładkę wykonał jako linoryt kol. S. Kopiasz (Nr. 358).
Drukarnia L. Gronusia i Ski w Krakowie